



Jared Burzynski

# KOBIETY I FUTBOL

KOMPLEKSOWO

OD **A** DO **Ö**



# KOBIETY I FUTBOL





Jared Burzynski

# KOBIETY FUTBOL

KOMPLEKSOWO  
OD *A* DO *Ö*

Copyright © by Jared Burzynski, 2018

Redakcja i korekta: Małgorzata Denys

Projekt okładki: Marcin Głowacki

Skład i łamanie: Piotr Molski

Druk i oprawa: Drukarnia im. Adama Półtawskiego  
[www.dap.pl](http://www.dap.pl)

Wydanie I  
Warszawa 2018

Wydawnictwo Magnus  
Seria wydawnicza: Ciepło/Zimno  
[cieplo-zimno.pl](http://cieplo-zimno.pl)

ISBN: 978-83-946010-9-6  
ISBN EPUB, MOBI, PDF: 978-83-950536-2-7

Wszelkie prawa zastrzeżone

## Ale po co to wszystko?

Gary Lineker, legendarny angielski piłkarz, powiedział kiedyś, że futbol to taka gra, w której dwudziestu dwóch mężczyzn biega za piłką, a na końcu i tak wygrywają Niemcy. Niestety, już pierwsza część tej wypowiedzi zawiera w sobie oczywistą nieprawdę, gdyż – wbrew wciąż powszechnej w wielu zakątkach świata opinii – za piłką z powodzeniem biegać potrafią nie tylko mężczyźni. Cóż jednak z tego, skoro szczególnie po wschodniej stronie dawnej żelaznej kurtyny media z godną podziwu konsekwencją odmawiają uznania żeńskiej odmiany futbolu za pełnoprawną dyscyplinę sportu? Jest to tym bardziej zaskakujące, że te same media, które przecież na ogół nie mają problemu z docenieniem sportsmenek osiągających sukcesy w innych dyscyplinach, wciąż postrzegają piłkarki w kategoriach ciekawego zjawiska społecznego. Widać to chociażby po lekturze wywiadów z samymi zawodniczkami, które – nawet gdyby chciały – nie mają zbyt wielu okazji, aby porozmawiać merytorycznie o piłce. Ich rozmówców bardziej od sytuacji w ligowej tabeli czy reakcji klubowej szatni na kontrowersyjnie przyznany walkower interesuje bowiem na przykład kwestia trudnego dzieciństwa, bo przecież z góry trzeba założyć, że dziewczyna uprawiająca

ten sport musi być „inna”, w przeciwnym razie kłóciłoby się to z obraną zawczasu narracją. Jeśli piłkarka występuje w klubie, który posiada dobrze prosperującą męską sekcję, tym gorzej dla niej. W takich sytuacjach trzeba się od razu przygotować na to, że lwia część rozmowy poświęcona będzie właśnie owym panom. Zadziwia mnie i zdumiewa, że tak stereotypowe przedstawianie kobiecej piłki często spotyka się z poklaskiem ludzi ze środowiska, gdyż według mnie ciągłe wypytywanie Katarzyny Kiedrzynek o Zlatana Ibrahimovicia jest raczej przejawem braku profesjonalizmu dziennikarskiego, ale być może to tylko moja ocena rzeczywistości. W każdym razie jeśli ja kiedykolwiek dostanę zadanie przeprowadzenia wywiadu z dowolnym piłkarzem londyńskiej Chelsea, na pewno nie zamierzam go pytać, ile razy zjadł wspólną kolację z Hedvig Lindahl, nawet jeśli całą poprzedzającą rozmowę noc miałbym spędzić na poznawaniu od podstaw męskiej ekstraklasy w Anglii. Ze wspomnianą powyżej ignorancją nierzadko można zresztą spotkać się także, słuchając komentarza podczas piłkarskiego meczu. W przeciwieństwie do wielu osób wygłaszających bezrefleksyjnie słowa krytyki doskonale zdaję sobie sprawę, że relacjonowanie na żywo widowiska sportowego nie jest wcale łatwym zajęciem i różni się diametralnie od oglądania meczu dla przyjemności, z perspektywy kibica. W związku z tym nie zamierzam i nie będę nikomu wytykać błędów wynikających przede wszystkim ze specyfiki relacji *live*, tym bardziej że mnie również zdarzyło się swego czasu pomylić Josefine Öqvist z Sofią Jakobsson. Jeśli jednak podczas zaledwie dziesięciu minut transmisji zdążyłem kiedyś usłyszeć, że wyglądające skądinąd niemal identycznie bliźniaczki Hammarström nie są ze sobą spokrewnione, a Christen Press zdobyła z Tyresö mistrzostwo Szwecji, to trudno potraktować to inaczej niż jako niedostateczne przygotowanie do wykonywania swoich obowiązków, względnie skutek zbyt pobieżnie dokonanego researchu. Skoro jesteśmy już przy tym ostatnim, to korzystając z okazji,

chciałbym zaapelować do wszystkich komentujących mecze szwedzkiej kadry o nieprzywoływanie więcej anegdotki dotyczącej debiutu Fridoliny Rolfö w Lidze Mistrzyń. O hat tricku strzelonym Liverpoolowi powiedziano już tyle, że aż musiałem sprawdzić, czy wzmianka o nim nie znalazła się przypadkiem w najpopularniejszej internetowej encyklopedii. Dodam tylko, że nie byłem specjalnie zaskoczony wynikiem poszukiwań.

Wróćmy jednak do tytułowego pytania, czyli: W jakim celu w ogóle powstała ta książka? Pomyśl na nią zaczął się tlić w mojej głowie podczas oglądanych na żywo derbów Budapesztu pomiędzy Astrą i MTK, ale cała historia rozpoczyna się tak naprawdę wiele lat wcześniej, gdy za namową koleżanki (dzięki ci, droga Charlotte, jeśli kiedykolwiek to przeczytasz!), postanowiłem po raz pierwszy odwiedzić piłkarską arenę. W tamto wyjątkowo chłodne nawet na skandynawskie standardy popołudnie nie miałem jeszcze pojęcia, że moje związki z futbolem staną się kiedykolwiek aż tak bliskie, lecz jednocześnie pewne jest, że gdyby nie tamten dzień, nigdy nie byłoby całego ciągu dalszego, a co za tym idzie, także i tej książki. Zgodnie z zasadą efektu motyla, jeśli zamiast na prowincjonalny stadion na obrzeżach miasta zdecydowałbym się wówczas – jak pierwotnie planowałem – wybrać do ulubionego teatru muzycznego, zamiast tego wstępu moglibyście w tej chwili czytać moją recenzję *La La Land*, *Deszczowej Piosenki* lub innego musicalu, bo akurat to, że w przyszłości w takiej czy innej formie związę swoje życie z pisaniem, było dla mnie jasne prawie od zawsze. Z perspektywy czasu muszę jednak przyznać, że decyzji sprzed lat, która okazała się w znacznym stopniu przełomowa, w żadnym wypadku nie żałuję. Poznawany przeze mnie coraz bardziej kompleksowo świat futbolu okazał się bowiem nie mniej fascynujący niż niejeden efektowny spektakl na broadwayowskiej scenie, a opisywanie go i obcowanie z nim, choć momentami niełatwe, już zdążyło przynieść mi mnóstwo satysfakcji, a mam głęboką nadzieję, że ten związek



szybko się nie wypali. Tę książkę traktuję więc przede wszystkim jak swego rodzaju hołd złożony przeze mnie całemu środowisku kobiecej piłki nożnej, tworzonemu przez wiele milionów wspaniałych ludzi, których nazwiska niezwykle rzadko pojawiają się na pierwszych stronach gazet. Spisałem w niej, w formie nietypowego alfabetu, szereg bardzo luźno powiązanych ze sobą opowieści i przemyśleń, zebranych podczas kilkunastu lat piłkarskich wojaży po trzech kontynentach. Być może niektóre z nich nazwiecie banalnymi, jeszcze inne oczywistymi, ale jestem dziwnie spokojny, że nie zabraknie i takich, które sprowokują was do głębszej refleksji. Nie zamierzam pomijać tutaj ani trudnych tematów, ani kontrowersyjnych opinii, choć już na samym wstępie muszę rozczarować tych, którzy trafili tu w poszukiwaniu szczegółowych opisów pikantnych skandali. Istnieją bowiem przynajmniej trzy niezwykle istotne powody, z których na najbliższych kilkudziesięciu stronach ich nie znajdziecie. Po pierwsze – są pewne granice, których nie należy przekraczać bez względu na okoliczności, po drugie – zyskiwanie rozgłosu opartego na aferach i aferkach nigdy nie znajdowało się w orbicie moich zainteresowań, po trzecie i zarazem najważniejsze – nie nazywam się Abby Wambach. Jeśli jednak, pomni na powyższe ostrzeżenie, zdecydujecie się zostać ze mną do końca, to gwarantuję, że podczas tej lektury z pewnością nie będziecie się nudzić, a kilkugodzinna wspólna podróż po najodleglejszych zaułkach naszej pięknej dyscypliny sportu upłynie nam wyłącznie w miłej atmosferze. To jak, startujemy?

# Bramkarki

Gdyby ktoś postanowił przeprowadzić ankietę na najbardziej niewdzięczną pozycję na piłkarskim boisku, bramkarki na pewno uplasowałyby się w niej na eksponowanym miejscu. Oczywiście jeśli chodzi o wszelkie splendory i zaszczyty, to akurat zdecydowanie najtrudniej o nie obrończyniom, szczególnie w przypadkach gdy nie mają one charyzmy Nilli Fischer, ale dla wysłuchujących regularnie niezbyt pochlebnych opinii na temat swojej postawy golkiperek jest to nadzwyczaj marne pocieszenie. Inna sprawa, że same bramkarki robią niestety bardzo wiele, aby jeszcze bardziej utrwalić powtarzany wielokrotnie stereotyp, że postęp, jaki w ostatnich dekadach niewątpliwie zrobiła piłka nożna, widać tym wyraźniej, im bardziej oddalimy się od pola bramkowego. Każdy, kto z bliska obserwuje którąkolwiek z czołowych lig europejskich, na pewno zgodzi się z tezą, że liczba bramkarskich kiksów przekracza w nich dopuszczalne normy bardziej niż wskaźnik zanieczyszczenia powietrza w Pekinie. Zdecydowanie najbliższa mojemu sercu szwedzka Damallsvenskan nie jest niestety w tej kwestii chlubnym wyjątkiem i choć od przynajmniej kilku sezonów dokłada się wszelkich starań, aby szkolenie golkiperek uczynić maksymalnie profesjonalnym,

namacalnych efektów wciąż brak, a znacznie więcej niż o efektownych paradach mówi się o efektownie puszczonej golach. O stanowiącej bezpośrednio zaplecze ekstraklasy Elitettan w tym kontekście nie ma po co nawet wspominać, gdyż stężenie bramkarskich absurdów jest tam nie mniejsze niż we wstępnych fazach turnieju Gothia Cup<sup>1</sup> i nie jest to bynajmniej laurka na cześć imprezy rozgrywanej w Göteborgu.

Jasne jest, że również wśród bramkarek bez trudu znajdziemy wiele najwyższej klasy specjalistek, które wyraźnie odstają od przywołanego tu trendu. Równie oczywiste jest to, że błędy przytrafiają się wszystkim piłkarkom (a uogólniając jeszcze bardziej – wszystkim ludziom, którzy nie boją się robić czegokolwiek), a pomyłki golkiperek akcentuje się najbardziej przede wszystkim dlatego, że to właśnie one bywają zazwyczaj najbardziej kosztowne, gdyż niosą ze sobą bezpośrednio ryzyko utraty gola. Żaden logicznie myślący człowiek nie będzie więc wymagał od bramkarek grających w europejskich klubach bezbłędnej gry przez cały sezon, gdyż byłoby to całkowicie niewykonalne, a jak powszechnie wiadomo – nie jest mądrze wymagać od kogokolwiek rzeczy niemożliwych. Z drugiej jednak strony, od zawodniczek aspirujących do gry w topowych klubach Europy pewnego poziomu oczekiwać po prostu wypada, a oglądając francuskie, niemieckie czy angielskie klasyki, zdecydowanie zbyt często musimy łapać się za głowę, patrząc na popisy pań stojących między słupkami. Żeby nie być gołosłownym, można cofnąć się chociażby do elektryzującego wielu kibiców nad Sekwaną pamiętnego grudniowego starcia Olympique Lyon z PSG<sup>2</sup>. Paryżanki dość nieoczekiwanie pokonały wówczas faworyzowane rywalki, ale można się zastanawiać, czy opuszczałyby murawę w glorii zwycięstwa, gdyby

---

<sup>1</sup> Rozgrywany od 1975 roku największy na świecie młodzieżowy turniej piłkarski, często nazywany nieoficjalnymi mistrzostwami świata.

<sup>2</sup> Mecz z 17 grudnia 2016, zakończony zwycięstwem PSG 1:0.

wydatnie nie pomogła im w tym Sarah Bouhaddi. Golkiperka Lyonu i reprezentacji Francji to zresztą niezwykle ciekawy temat na zupełnie odrębną dyskusję. W minionym roku piłkarscy statystycy przyznali jej nawet tytuł najlepszej bramkarki na świecie, lecz chyba tylko oni wiedzą, jakich statystyk (oraz innych wspomagaczy) musieli użyć, aby dojść to takich wniosków. Nie mam tutaj zamiaru deprecjonować umiejętności Bouhaddi, gdyż do prawdopodobnie najlepszej klubowej drużyny globu nie bierze się raczej zawodniczek z łapanki, ale w moich oczach golkiperka Lyonu nigdy nie była piłkarką kompletną, co niejako w naturalny sposób dyskwalifikuje ją z grona potencjalnych kandydatek do miana numeru jeden na świecie. Przytoczona tu sytuacja z meczu przeciwko PSG, która tym razem okazała się niezwykle kosztowna w skutkach, nie była bowiem tylko wypadkiem przy pracy, ale jednym z naprawdę wielu przypadków, w których Bouhaddi mogła, a nawet powinna zachować się lepiej. Zaledwie dwa miesiące później, w potyczce z Juvisy, przytrafiła jej się jeszcze bardziej kuriozalna wpadka, która również zakończyła się golem dla rywalek, a nie był to bynajmniej ostatni poważny błąd w sezonie, jaki popełniła. Co gorsza, bramkarka Olympique Lyon nie zawsze potrafi wyciągnąć ze swoich pomyłek właściwe wnioski i chyba nikt nie będzie przesadnie zdziwiony, jeśli niebawem w którymś ze spotkań drogę do strzeżonej przez Bouhaddi bramki znajdzie futbolówka po strzale bliźniaczo podobnym do tego w wykonaniu Marie-Laure Delie. A przecież aby uniknąć tego gola, wystarczyło jedynie skorygować ustawienie i/lub lepiej przewidywać, gdzie spadnie uderzona przez zawodniczkę PSG piłka. Czy to możliwe, żeby najlepsza golkiperka świata mogła tego nie wiedzieć?

Nieprzypadkowo w poprzednich akapitach kilkakrotnie podkreślałem, że większość moich uwag tyczy się lig europejskich, gdyż Stany Zjednoczone wciąż pozostają dla mnie nieodścignionym wzorcem w dziedzinie szkolenia bramkarek.

Mówię tu szczególnie o pierwszych latach treningów, podczas których zdecydowanie najłatwiej wykształcić pewne dobre nawyki u młodych adeptek futbolu. O ile w seniorskiej piłce trudno dostrzec jakieś znaczące różnice, a wynik międzykontynentalnej rywalizacji wyszedłby mniej więcej na remis, o tyle na poziomie szkółek i akademii Ameryka wciąż znajduje się o pół kroku z przodu, zwłaszcza w kwestii dostępności profesjonalnego treningu. Po naszej stronie Atlantyku, choć trzeba uczciwie przyznać, że liczba wykwalifikowanych trenerów młodzieży oraz wysokiej klasy ośrodków rośnie lawinowo, wciąż zbyt wiele zależy od szczęścia, które definiuję jako przyjsięcie na świat pod odpowiednią długością i szerokością geograficzną. Brutalna prawda przedstawia się bowiem tak, że wiele europejskich krajów niezmiennie traktuje piłkarki jako zło konieczne, a pomysł, aby umożliwić siedmio- czy ośmioletnim dziewczynkom odbywanie profesjonalnych treningów bramkarskich, wydaje się osobom decyzyjnym tak absurdalny, że w ogóle nie warto zaprzętać sobie nim głowy. Lekceważące podejście do tematu szkolenia jest zresztą podstawowym czynnikiem, który – moim zdaniem – leży u podstaw podziału piłkarskiego świata na dwie, a może nawet i trzy prędkości rozwoju. W swojej opinii nie jestem bynajmniej odosobniony, gdyż podzieliło ją wielu spośród moich rozmówców, z którymi postanowiłem przedyskutować ów temat. George Papachristou, były szkoleniowiec Örebro, pokusił się nawet o analizę porównawczą treningów grup młodzieżowych w Grecji i w Szwecji, a obraz, który się z niej wyłonił, raczej nikogo nie natchnął optymizmem. Skoro trzynastoletnie Greczynki muszą właśnie w tym wieku uczyć się piłkarskiego abecadła, które powinny opanować wiele lat wcześniej, to kiedy, czy może na późniejszym etapie rozwoju, mają odrobić stracony dystans skutecznie uniemożliwiający im rywalizację z najlepszymi na poziomie seniorskiej piłki? To trochę tak, jakby w biegu na sto metrów kazał jednej z jego uczestniczek pokonać odcinek o połowę dłuż-

szy i oczekiwać, że mimo to będzie ona w stanie podjąć równorzędną walkę z rywalkami. To lekkoatletyczne porównanie jeszcze bardziej uzmysławia, że jedyna skuteczna droga do zasypania lub chociażby zmniejszenia przepaści pomiędzy dwoma piłkarskimi światami wiedzie poprzez drastyczne zrewolucjonizowanie sposobu postrzegania kobiet uprawiających tę dyscyplinę sportu. Bez tego nigdy nie da się ruszyć z miejsca, gdyż – jak doskonale wiemy – nie można osiągnąć sukcesu w biznesie, którego nie traktuje się w pełni poważnie. Grecy, choć nie tylko oni, muszą zatem dokonać wyboru i – jeśli uznają, że jednak zależy im na posiadaniu solidnej żeńskiej reprezentacji – całkowicie odrzucić dotychczasową mentalność. W przeciwnym razie za trzydzieści lat najpoważniejszym osiągnięciem ich piłkarek wciąż pozostanie eliminacyjne 0:1 z Francją, osiągnięte tylko i wyłącznie dlatego, że rywalki tego dnia urządziły sobie konkurs ostrzeliwania słupków i poprzeczki.

Odeszliśmy na moment od głównego wątku bramkarskiego, więc najwyższa pora do niego powrócić. Tym bardziej że mam jeszcze jedną, być może nieco szaloną teorię wyjaśniającą fenomen amerykańskich golkiperek, którą nigdy wcześniej – być może przez wzgląd na jej przesadną oryginalność – nie dzieliłem się publicznie. Każdy, kto miał okazję spędzić jakiś fragment swojego życia w USA, doskonale zdaje sobie sprawę, jak wielką popularnością wśród młodzieży cieszą się w tym kraju wszelkiej maści sporty drużynowe. W przeciwieństwie do chłopców dziewczynki zdecydowanie najchętniej wybierają oczywiście piłkę nożną, ale niejedna spośród przyszłych gwiazd soccera próbowała swoich sił chociażby w softballu, czyli grze, która jak chyba żadna inna pomaga ćwiczyć chwytanie i refleks, a więc zdolności niezwykle pomocne w późniejszej karierze bramkarskiej. Czy w tym szaleństwie rzeczywiście jest metoda, a młodzieńcza zabawa w softball przyczyniła się do tego, że Amerykanki, jako bodajże jedyna nacja, nigdy w historii nie miały najmniejszych

problemów z obsadą bramki? Byłaby to niezwykle odważna teza, lecz jeśli bardziej zagłębimy się w temat, to... może się jednak okazać, że coś jest na rzeczy. Wszak najlepsza polska bramkarka wielokrotnie podkreślała swoje związki z piłką ręczną, a handballową przeszłością może pochwalić się także między innymi coraz mocniej pukająca do bram szwedzkiej kadry Hilda Carlén. Jeśli spojrzymy na problem bardziej globalnie, okaże się, że na przestrzeni lat najwięcej światowej klasy golkiperek doczekały się kraje, w których dyscypliny pokroju wspomnianych tu softballa czy piłki ręcznej cieszą się niemałym wzięciem. Zupełny przypadek? Być może, choć nie sądzę.

Wielu z was zapewne spodziewało się, że w rozdziale poświęconym bramkarkom bohaterką przynajmniej jednego osobnego akapitu będzie osoba, której słowa swego czasu przyczyniły się do rozpętania w Szwecji ogólnonarodowej afery. Nic w tym dziwnego, gdyż Hope Solo to na tyle barwna postać, że mówić i pisać można o niej godzinami, a i tak szybko nie wyczerpie się tematu. Najlepiej i najzgrabniej robi to zresztą sama zainteresowana, więc chętnych zapraszam do bliższego zapoznania się z jej twórczością, ja natomiast skupię się na możliwie najwierniejszym odwzorowaniu uczuć, jakie towarzyszyły mi podczas pierwszego spotkania z dwustukrotną reprezentantką USA. Odbyło się ono ponad trzynaście lat temu, kiedy dwudziestodwuletnia wówczas bramkarka, mająca już na koncie debiut w amerykańskiej kadrze, przyjechała do Göteborga, aby zasilić mającą niezwykle ambitne plany drużynę, w którą nowy sponsor pompował właśnie całkiem pokaźną sumę pieniędzy. Cechami już wtedy wyróżniającymi Solo nawet wśród grających w Skandynawii rodaczek były niewątpliwie olbrzymia ambicja i niepohamowany głód zwyciężania. Trudno się więc dziwić, że właściwie od samego początku miałem nieodparte wrażenie, iż właśnie przyszło mi podziwiać w akcji bramkarzę, którą w nieodległej przyszłości czeka naprawdę wspaniała kariera. U tej młodej piłkarki

uznawane za atrybut większości Amerykanek i Amerykanów dążenie do bycia numerem jeden posunięte zostało bowiem niemal do ekstremum, choć – wbrew obiegowej opinii – grająca w szwedzkiej ekstraklasie Solo nie była piłkarką szukającą kontrowersji i konfrontacji przy każdej nadarzającej się okazji. Na boisku golkiperka ze stanu Waszyngton rzeczywiście sprawiała wrażenie zawodniczki, w której słowniku nie figuruje słowo „porażka”, ale poza tym zupełnie nie wpisywała się w lansowany obecnie przede wszystkim przez amerykańskie media wizerunek dyżurnej skandalistki światowej piłki – obok Abby Wambach (do niej dojdziemy w odpowiednim czasie) i klęczącej podczas hymnu Megan Rapinoe. Hope z Göteborga z całą pewnością nie sprawiała wrażenia piłkarki, którą za kilkanaście lat większość kibiców będzie albo kochać, albo nienawidzić, a tylko nieliczni pozostaną wobec niej obojętni. Całkiem niedawno zastanawiałem się, czy Hope z Göteborga także zdecydowałaby się na tak odważny komentarz po przegranym meczu, i... zdaję sobie sprawę, że nigdy nie poznam na to pytanie odpowiedzi. Wiem jednak, że Amerykanie postąpili słusznie, nie pozwalając na to, aby owa problematyczna wypowiedź została pozostawiona bez reakcji. Nie zamierzam wchodzić w cudze kompetencje i dyskutować tu nad formą czy wysokością zasądzonej kary, ale jestem zdania, że szacunek dla rywala jest wartością, którą powinno się egzekwować od każdego sportowca. Inna sprawa, że znacznie większą świadomość wagi wypowiedzianych przez siebie słów powinna mieć przede wszystkim sama Solo i w związku z tym zdawać sobie sprawę, że jest idolką i wzorem do naśladowania dla setek tysięcy rozpoczynających przygodę z piłką dziewcząt i chłopców nie tylko w USA (tak, jestem całkowicie przekonany, że liczba ta nie jest w żadnym razie przeszacowana). Nazywanie „bandą tchórzy” drużyny, która właśnie wykopała mnie z rozgrywek, pozbawiając tym samym szansy na obronę tytułu, mimo najszczerzyszy chęci trudno nazwać dawaniem dobrego



przykładu i nawet coraz intensywniej buzująca w żyłach Solo gorąca krew nie stanowi tu okoliczności łagodzących. Podobnie zresztą jak to, że Szwedki wcale nie poczuły się przesadnie dotknięte wspomnianym komentarzem, bo naprawdę trudno było oczekiwać, aby zmącił on radość z wywalzonego w niecodziennych okolicznościach awansu do strefy medalowej. Kontrargument, że w męskiej piłce takie wypowiedzi są na porządku dziennym i nikt nie robiłby z tego afery, także do mnie nie przemawia, gdyż akurat pełen różnorodnych patologii świat męskiej piłki w przytłaczającej większości wypadków nie jest dla mnie wymarzonym punktem odniesienia. Zdecydowanie najbardziej rozbawiło mnie jednak tłumaczenie samej Hope, która w studiu telewizyjnym zapewniała, że niefortunnie użyte przez nią słowo „tchórze” nie padło w kontekście szwedzkich piłkarek i trenerek, ale taktyki, która ostatecznie zaprowadziła Skandynawki aż do finału. Amerykańska golkiperka podkreślała, jak wielką przykrością było dla niej obserwowanie cofającej się raz po raz w okolice własnej szesnastki Lotty Schelin, ale najwyraźniej zapomniała, że ta sama Schelin w drugiej połowie dogrywki umieściła futbolówkę w jej siatce i jedynie dzięki wyjątkowo słabo prowadzącej to spotkanie trójce sędziowskiej z Oceanii emocje na stadionie w Brasili przedłużyły się aż do rzutów karnych.

Skoro zajrzeliśmy już na igrzyska, to naszą bramkarską opowieść zepnijmy piękną, szwedzką klamrą. Niewątpliwą bohaterką turnieju w Rio była bowiem Hedvig Lindahl, z którą nierozdzielnie wiąże się krótka anegdotka, choć dotyczy ona wcześniejszego okresu jej kariery. Od mniej więcej dwóch lat wielu moich kolegów próbuje bezskutecznie przekonać mnie, że rewolucję w grze współczesnych bramkarzy zapoczątkował swoją postawą jeden z niemieckich golkiperów. Wynika z tego, że najwyraźniej nie mieli oni okazji zobaczyć w akcji młodej Lindahl, która swego czasu niejednokrotnie przyprawiała każdego z nas o szybsze bicie serca swoją odważną i niekonwencjonalną grą. Broniąc

kolejno barw Linköping, Göteborga oraz Kristianstad, szwedzka golkiperka nie ustawała w działaniach, aby zostać pierwszą na świecie bramkarką grającą w roli *sweeper keeper*, co kilka razy bezlitośnie wykorzystały ligowe rywalki, a Portia Modise z RPA zapakowała jej nawet gola z połowy boiska. W początkowej fazie bramkarskiej rewolucji nie obyło się więc bez ofiar, ale trzeba przyznać, że w ostatnich trzech latach forma Lindahl ustabilizowała się na stałym, wysokim poziomie zarówno w klubie, jak i w reprezentacji. Na kanadyjskim mundialu była ona jedną z niewielu piłkarek kadry Pii Sundhage, które z pewnością nie musiały mieć do siebie pretensji za kompletnie nieudany start w mistrzostwach, a na brazylijskich igrzyskach potrafiła napisać historię, dzięki której zyskała stałe miejsce w galerii sław szwedzkiej piłki, choć sama uparcie twierdzi, że znaczną część roboty wykonali za nią analitycy, a ona po prostu... rzucała się tam, gdzie jej wskazano.

## Chastain, Brandi

Lipiec 1999. Pasadena, Kalifornia. Na trybunach niemal sto tysięcy widzów, na termometrach niemal sto stopni Fahrenheita. Finał piłkarskich mistrzostw świata. Stany Zjednoczone kontra Chiny. Amerykanki pod żadnym pozorem nie mogą pozwolić sobie na porażkę, w końcu nie po to przez wiele tygodni w najdrobniejszych szczegółach opracowywano plan konsumowania drugiego w historii mistrzowskiego tytułu, aby wyrzucić go do kosza po przegranym finale. Po stu dwudziestu minutach walki na tablicy wciąż widnieje jednak wynik bezbramkowy, a na domiar złego to Azjatki zarówno w regulaminowym czasie, jak i w dogrywce są znacznie bliższe rozstrzygnięcia spotkania na swoją korzyść. Czy to możliwe, że wszystko rozsypie się w ostatnim dosłownie momencie? Spokojnie, nieprzypadkowo znajdujemy się zaledwie kilkanaście kilometrów na północ od słynnego Hollywood, a przecież w Kalifornii nie może być mowy o przypadkowych zakończeniach. W finałowej scenie na arenę wkracza więc Brandi Chastain, cała na biało, poprawia włosy, bierze krótki rozbieg i precyzyjnym strzałem tuż przy słupku w jednej sekundzie uszczęśliwia wiele milionów Amerykanów. Stadion pogrąża się w ogólnej ekstazie, a bohaterka ostatniej akcji zdej-

muje koszulkę, pada na kolana i w swojej mistrzowskiej pozie natychmiast trafia na okładki „Sports Illustrated”, „Time’a” i „Newsweeka”, a kilka miesięcy później wraz z koleżankami z reprezentacji odbiera nagrodę dla Sportowca Roku, która nigdy wcześniej i nigdy później nie trafiła w ręce przedstawicieli piłki nożnej. Kolejne wydarzenia potoczyły się już lawinowo i chyba nikt nie był przesadnie zaskoczony, gdy latem 2000 roku to właśnie Chastain została obok koszykarza Kevina Garnetta twarzą popularnej marki odzieżowej, a mistrzowska kadra z 1999 stała się w mediach symbolem amerykańskiego sukcesu i w niedalekiej przyszłości powstało o niej wiele filmów dokumentalnych opisujących chyba ze wszystkich możliwych stron zwieńczoną historycznym sukcesem kampanię.

Czy finał mistrzostw świata 1999 rzeczywiście wyglądał tak, że gdyby nie Chastain, puchar odleciałby do Chin? Cóż, nie do końca, ale to właśnie jej widowiskowa cieszynka stała się na zawsze symbolem kalifornijskiej wiktorii i gdyby dziś zapytać amerykańskich sympatyków soccera o pierwsze skojarzenie z potyczką sprzed niemal dwóch dekad, dziewięciu na dziesięciu ankietowanych bez chwili wahania wskazałoby właśnie na niekontrolowany wybuch radości defensorki z San Jose. Mało kto przy tym pamięta, że bardzo wiele czynników złożyło się na to, że Chastain w ogóle miała okazję do zaprezentowania światu spektakularnej celebracji. Choć zebrani na Rose Bowl w Pasadena kibice przez sto dwadzieścia minut nie obejrzeni ani jednego gola, to szczególnie w drugiej połowie i w dogrywce Chinki stworzyły sobie kilka naprawdę dogodnych okazji do tego, aby finałowy pojedynek zakończył się ich zwycięstwem. Najlepsza z nich wydarzyła się właśnie w dodatkowym czasie gry, lecz futbolówkę niechybnie zmierzającą wówczas do amerykańskiej bramki w ostatniej chwili głową wybiła z linii bramkowej filigranowa Kristine Lilly. W myśl panujących wówczas przepisów, gdyby nie ta interwencja, tamtego dnia nie byłoby nam dane

emocjonować się konkursem rzutów karnych, ale – jak to w kalifornijskim kinie – gdy nastąpił punkt kulminacyjny, wszystko, co wydarzyło się wcześniej, natychmiast straciło na znaczeniu.

Mundial 1999 był dla Amerykanów czymś znacznie więcej niż tylko kolejnym turniejem piłkarskim i nie będzie wielkiej przesady w stwierdzeniu, że wywalczenie mistrzowskiego tytułu było dla wielu z nich niemalże sprawą życia i śmierci. Jeden z powodów był oczywiście taki, że mistrzostwa po raz pierwszy w historii rozgrywano na amerykańskiej ziemi, a jak doskonale wiemy, akurat ten naród szczególnie nienawidzi porażek poniesionych na własnym terenie. Główna przyczyna leżała jednak zupełnie gdzie indziej, a napędzała ją przemożna chęć... naprawienia własnych błędów sprzed ośmiu lat. Właśnie wtedy piłkarki USA po raz pierwszy wywalczyły tytuł najlepszej drużyny świata, lecz osiągnięty na chińskich boiskach sukces przeszedł w kraju właściwie bez echa. Ot, dziewczyny pojechały sobie na drugi koniec globu, przywiozły do domu złote medale i to by było na tyle. Gdy tylko zorientowano się, jak wielki potencjał medialno-ekonomiczny zmarnowano, natychmiast przystąpiono do zakrojonej na szeroką skalę operacji 1999. Jej pierwszym etapem było sprowadzenie do Stanów Zjednoczonych samej imprezy, a gdy to się powiodło, należało jeszcze zatroszczyć się o jej wynik. Nie mam tu absolutnie na myśli żadnych nieuczciwych procederów, gdyż nie dość, że nie jestem i nigdy nie byłem w posiadaniu jakichkolwiek informacji na ich temat, to znając amerykańską mentalność, nie przypuszczam, aby celem organizatorów było zwycięstwo po nieuczciwej walce. Prawdą jest jednak również to, że wszyscy wyśmienicie zdawali sobie sprawę, iż mundialowe złoto dla USA może okazać się kołem zamachowym nie tylko dla amerykańskiego soccera, ale też globalnie dla całej dyscypliny. Już przed rozpoczęciem turnieju było jasne, że rozgrywane na obu wybrzeżach Stanów Zjednoczonych mistrzostwa będą olbrzymim przedsięwzięciem, lecz dopiero awans piłka-

rek prowadzonych przez Tony'ego DiCicco do strefy medalowej gwarantował, że zainteresowanie turniejem nie osłabnie aż do jego ostatniego dnia, a ewentualne w nim zwycięstwo Amerykanek dawało nadzieję na to, że stanie się on początkiem nowej, lepszej ery, choć właściwie nikt do końca nie wiedział, czego można się po niej spodziewać. Tak czy inaczej, reprezentantki USA nie potrzebowały jakiegokolwiek wsparcia z zewnątrz, aby w dobrym stylu wygrać swoją grupę, a worek z kontrowersjami na dobre rozwiązał się dopiero w fazie pucharowej. Gospodyniom nie stała się ostatecznie większa krzywda ani w ćwierćfinale z Niemkami (3:2 po fenomenalnym meczu, Brandi Chastain strzelała do obu bramek), ani w półfinale przeciwko Brazylii (wynik na 2:0 ustaliła Michelle Akers, skutecznie egzekwując jedenastkę), ale w wielkim finale Chinki, które tydzień wcześniej przejechały się po broniących tytułu Norweżkach, zawiesiły poprzeczkę nadspodziewanie wysoko. O zwycięstwie USA przesądził koniec końców dopiero konkurs rzutów karnych, lecz nie możemy zapominać, że jego wynik został w karygodny sposób wypaczony. Prowadząca spotkanie Szwajcarka Nicole Petignat uparła się, że nie będzie zauważać zachowania Briany Scurry, która za każdym razem w momencie strzału chińskiej piłkarki stała trzy kroki (!) przed linią bramkową. Pani arbiter była w swoim postanowieniu do bólu konsekwentna, a łamiąca ewidentnie przepisy gry w piłkę nożną amerykańska golkiperka – choć obroniła zaledwie jedno uderzenie z pięciu – otrzymała w nagrodę złoty medal mistrzostw świata. Wielokrotnie słyszałem pytanie, czy gdyby tamten mecz rozgrywany był na przykład w Chinach, to Azja jeszcze w dwudziestym wieku doczekałaby się pierwszego mundialowego triumfu, ale dziś możemy w tej kwestii jedynie gdybać, a i tak nie będziemy w stanie zmienić przeszłości, w której ów finał odbył się w Kalifornii, czyli w miejscu, gdzie z reguły zwycięża bohater od samego początku kreowany na zwycięzcę.

Wspomniałem już, że zwycięstwo Amerykanek miało być swoistym nowym otwarciem, i spoglądając na turniej sprzed niemal dwudziestu lat z dzisiejszej perspektywy, trzeba przyznać, że rzeczywiście nim było. Wiadomo, że w sporcie i w polityce zawsze znajdują się tacy, którzy będą narzekać na zbyt wolno zachodzące zmiany, lecz patrząc maksymalnie obiektywnie – piłkarski świat zmienił się po Mundialu 1999 nie do poznania. Nazwiska Mii Hamm czy Brandi Chastain znał od tej pory prawie każdy Amerykanin, a przedstawicielki złotej drużyny śmiało wkroczyły na terytoria niedostępne nawet dla sportsmerek uprawiających znacznie bardziej amerykańskie dyscypliny. Nic więc dziwnego, że gdy kilkanaście lat później Abby Wambach w dramatycznych okolicznościach, w ostatniej sekundzie dogrywki, doprowadzała do remisu w rywalizacji z Brazylią<sup>3</sup>, jej wyczyn okłaskiwały miliony rodaków z prezydentem Barackiem Obamą na czele, a następnego dnia informacja o meczu w Dreźnie znalazła się na pierwszych stronach nawet tych gazet, które na co dzień nie mają z piłką nożną ani w ogóle ze sportem zbyt wiele wspólnego. Trudno, rzecz jasna, oczekiwać, aby w Stanach Zjednoczonych piłkarki kiedykolwiek miały równać się popularnością z największymi gwiazdami NFL czy NBA, bardzo wiele pozostało jeszcze do zrobienia w kwestii równości płac, ale status, jakim dziś cieszą się w tym kraju chociażby Alex Morgan czy Tobin Heath, jednoznacznie pokazuje, jak długą drogę już udało się pokonać. Podziwiając wspaniałą otoczkę, jaka towarzyszy dziś każdemu wydarzeniu z udziałem USWNT, warto jednak pamiętać, że to właśnie zwieńczona pełnym sukcesem na wszystkich frontach kampania 1999 była przełomowym i w zasadzie najważniejszym, można by rzec, milowym krokiem w wędrówce ku lepszej przyszłości.

---

<sup>3</sup> W ćwierćfinale mistrzostw świata 2011 w Niemczech.

Skoro obracamy się od pewnego czasu w temacie amerykańskich mistrzostw, to warto na sam koniec poświęcić trochę miejsca reprezentacji, która była – choć może w jej przypadku to niezbyt fortunne określenie – prawdziwym czarnym koniem tamtej imprezy. Nigeryjki, bo o nich mowa, jako pierwszy w historii przedstawiciel Afryki awansowały do ćwierćfinału i naprawdę niewiele brakowało, by z rozmachem zameldowały się nawet w strefie medalowej. Ponieważ na turnieju w Stanach Zjednoczonych historia tworzyła się każdego dnia, a media prześcigały się przede wszystkim w kolejnych sensacyjnych doniesieniach z amerykańskiego obozu, sukces zawodniczek z Czarnego Łądu pozostał prawie niezauważony, a byłoby szkoda, gdyby świat zupełnie zapomniał o drużynie, której postawą tak bardzo się przecież emocjonowaliśmy. Drużyna Nigeryjek nie była być może ekipą prezentującą najbardziej uporządkowany futbol, ale entuzjazm i pasja od niej bijące spowodowały, że niezwykle szybko stała się reprezentacją drugiego wyboru dla większości kibiców i obserwatorów. Jakiś udział mieli w tym z pewnością również nader żywiołowo reagujący na boiskowe i nie tylko wydarzenia nigeryjscy fani, którzy ponieśli swoją kadrę do dającego przepustkę do ćwierćfinału zwycięstwa nad Danią, ale dla mnie Mundial 1999 na zawsze będzie miał twarz Mercy Akide. Nie wymachująca koszulką Brandi Chastain, nie ofiarnie interweniująca Kristine Lilly, nie uosabiająca piłkarską perfekcję Wen Sun, lecz właśnie niezmordowana Afrykanka była tą zawodniczką, której gra najbardziej utkwiła mi w pamięci. W ćwierćfinale przeciwko Brazylii, a mecz ten, notabene, wciąż pozostaje dla mnie najlepszym, jaki kiedykolwiek rozegrano na piłkarskich mistrzostwach świata, Akide na listę strzelczyń się nie wpisała, ale i tak miała olbrzymi udział w odrobieniu przez Nigeryjki trzybramkowej straty z pierwszej połowy i doprowadzeniu do dogrywki. Pełne dramaturgii brazylijsko-nigeryjskie starcie skończyło się ostatecznie w sposób w zupełności godny tak



wspaniałego widowiska, a złoty gol autorstwa Sissi (innej wielkiej gwiazdy tamtego turnieju) mógłby być ozdobą każdej piłkarskiej imprezy. Trafienie to definitywnie zakończyło niestety piękny nigeryjski sen, a pewnym pocieszeniem dla Mercy Akide mogło być wyłącznie to, że najwyraźniej nie byłem jedyną osobą oczarowaną jej postawą, zachwyceni Amerykanie postanowili zaś zrobić wszystko, aby tylko zatrzymać ją w kraju, w którym to zresztą mieszka do dziś. Co zaś się tyczy Nigerii, to możemy jedynie żałować, że tamtejsza federacja nie poszła śladami Amerykanów i na bazie niebywałego osiągnięcia do dziś nie potrafiła zbudować choćby namiastki profesjonalnej reprezentacji.